SŁUPSKI MUZYCZNY TEATR

WOJCIECH MŁYNARSKI

CIEŃ

Dyrektor i kierownik artystyczny

MAREK GRZESIŃSKI

Kierownik muzyczny

GRZEGORZ NOWAK

Dyrektor administracyjny

JERZY RUDNIK

Hans Christian Andersen

CIEŃ

W ciepłych krajach słońce pali co się zowie. Ludzie opalają się tam na mahoniowo; a w najgorętszych stronach opalają się nawet na Murzynów. Otóż do tych ciepłych krajów przywędrował pewien uczony z północnych stron; zdawało mu się, że może tam tak spacerować jak u siebie w domu. Ale bardzo prędko odzwyczaił się od tego. Musiał tak jak wszyscy rozsądni ludzie siedzieć w mieszkaniu, a okiennice i drzwi trzymać zamknięte przez cały dzień; wyglądało to tak, jak gdyby cały dom spał albo jak gdyby nikogo w domu nie było. Ciasna ulica z wysokimi domami, przy której uczony mieszkał, miała takie położenie, że promienie słoneczne świeciły nad nią od rana do nocy; było istotnie nie do wytrzymania. Uczony z zimnych krajów był to człowiek młody i mądry; zdawało mu się, że siedzi w rozpalonym piecu, i to męczyło go; chudł coraz bardziej i w końcu nawet cień jego skurczył się i stał się o wiele mniejszy niż w ojczyźnie, słońce pastwiło się i nad nim. Obydwaj odżywali dopiero wieczorem po zachodzie słońca.

Był to bardzo zabawny widok; skoro tylko zapalono światło w pokoju, cień wydłużał się na ścianie, sięgał wyżej, czasem aż na sufit; musiał się tak wyciągać, aby znowu nabrać sił. Uczony wychodził na balkon, żeby tam rozprostować swe członki, a kiedy gwiazdy ukazywały się na pięknym, czystym niebie, zdawało mu się, że zaczyna na nowo żyć. Na wszystkich balkonach wychodzących na ulicę (a w ciepłych krajach przed każdym oknem znajduje się balkon) ukazywali się ludzie, gdyż świeże powietrze potrzebne jest każdemu, nawet gdy się jest przyzwyczajonym do opalania się na mahoń. Wówczas ożywiało się wszystko w górze i na dole. Szewcy czy krawcy, wszyscy wychodzili na ulicę, wystawiano stoły i krzesła, zapalano światła, tysiące świateł; jedni rozmawiali, inni śpiewali, ludzie przechadzali się, wozy turkotały, osły pędziły, dzińdzielińdzińdzielińdzielińdzieliń

rym nie może sobie dać rady, wciąż ten sam kawałek. „A jednak go zagram!" — mówi do siebie, ale nic nie wychodzi, mimo że gra i gra.

Pewnej nocy cudzoziemiec obudził się; spał przy otwartych drzwiach balkonu, wiatr uniósł firankę, która je zasłaniała, i wówczas ujrzał, że z sąsiedniego balkonu pada cudowny blask, wszystkie kwiaty świeciły jak płomienie w najpiękniejszych barwach, a pośród kwiatów stała wysmukła, urocza dziewica, zdawało się, że i ona świeci; olśniło go to, otwierał szeroko oczy przetarte dopiero co ze snu; jednym susem wyskoczył z łóżka, cichutko wsunął się za firankę, ale dziewica już znikła, blask przepadł, kwiaty nie świeciły, kwitły tylko tak pięknie jak zwykle; drzwi były odemknięte i z oddali płynęła muzyka tak urocza i rzewna, że można było przy jej dźwiękach snuć najsłodsze myśli. Było to niby sen czarodziejski. Kto tam mieszkał? Gdzie było właściwe wejście? Cały parter zajmowały sklepy, sklep przy sklepie, a tamtędy ludzie nie mogli przecież przechodzić.

Pewnego wieczoru cudzoziemiec siedział na swoim balkonie, w pokoju tuż za nim paliło się światło, było więc zupełnie naturalne, że jego cień padał na ścianę przeciwległego domu i siedział tam wprost naprzeciw wśród kwiatów na balkonie, a gdy uczony się poruszył, jego cień poruszał się także, jak to zwykle bywa.

— Zdaje mi się, że mój cień jest jedyną żywą istotą, którą się tam widzi — powiedział uczony. — Prosze patrzeć, jak mu dobrze wśród kwiatów, drzwi są ledwo przymknięte, gdyby mój cień był mądry, wszedłby do pokoju, rozejrzał się, a potem wrócił i opowiedział mi wszystko, co widział. Tak, przynajmniej przydałbyś się na coś — dorzucił żartem. — Bądź tak łaskaw i wejdź. No cóż, wejdziesz? — I kiwnął głową cieniowi, a cień odpowiedział mu tym samym gestem. — Więc idź, ale nie zapomnij wrócić. — I uczony podniósł się, a jego cień na przeciwległym balkonie podniósł się również; uczony odwrócił się i jego cień odwrócił się również; gdyby ktoś bacznie zwrócił na to uwagę, zobaczyłby wyraźnie, jak cień wszedł wprost przez wpółprzymknięte drzwi balkonowe przeciwległego domu w tej samej chwili, kiedy uczony wrócił do pokoju i zaciągnął za sobą długą firankę.

Następnego ranka wyszedł uczony, aby napić się kawy i przeczytać gazety.

— Co to jest! — zawołał, skoro stanął w blasku słońca. — Przecież ja nie mam cienia! Więc naprawdę poszedł wczoraj wieczorem i nie wrócił; a to przykra historia!

Gniewało go to, ale nie tylko dlatego, że cień sobie poszedł, lecz dlatego, że znał opowiadanie o człowieku bez cienia, znali je zresztą wszyscy jego rodacy w zimnych krajach, więc gdyby teraz wrócił i opowiedział swoją własną historię, powiedzieliby, że naśladuje innych, a na to nie chciał się narażać. Wolał wcale o tym nie mówić i to było daleko rozsądniejsze.

Wieczorem wyszedł znów na swój balkon, światło umieścił przed sobą, gdyż wiedział, że cień lubi, by jego pan był mu parawanem, ale nie udało mu się przywabić go; kurczył się, wyciągał — nic nie pomagało — cienia nie było: chrząkał: hm, hm. Ale i to nie skutkowało.

Było mu nieprzyjemnie, ale w gorących krajach rośnie wszystko tak szybko, że po upływie tygodnia uczony zauważył z wielką radością, że nowy cień wyrasta mu spod nóg, skoro tylko wychodzi na światło słoneczne; widać korzenie zostały. Po trzech tygodniach miał już zupełnie przyzwoity cień, który gdy uczony wracał do swoich północnych stron, w podróży coraz bardziej rósł, aż w końcu stał się tak długi i duży, że połowa wystarczyłaby w zupełności.

Tak więc powrócił uczony do siebie, pisał książki o tym, co na świecie jest prawdziwe, o tym, co dobre i piękne, a dnie płynęły, minął rok, minęło wiele lat.

I oto uczony siedzi pewnego wieczoru w swym pokoju: wtem ktoś puka cicho do drzwi.

— Proszę! — powiedział uczony, ale nikt nie wchodzi; otwiera drzwi i widzi przed sobą tak niezwykle chudego człowieka, że aż oczom nie dowierza. Zresztą człowiek ten był bardzo starannie ubrany i wyglądał na wytwornego mężczyznę.

— Z kim mam zaszczyt? — zapytał uczony.

— Pomyślałem sobie od razu, że pan mnie nie pozna. Nabrałem tyle ciała, przyodziałem się tak dostatnio. Nie wyobrażał pan sobie nigdy, że zobaczy mnie w takim dostatku? Cóż, nie poznaje pan swego dawnego cienia? Tak, myślał pan, że już nigdy nie wrócę. Doskonale mi się powodziło od owego czasu, kiedy odszedłem od pana. Wzbogaciłem się pod każdym względem i teraz, jeśli zechcę wykupić się od służby, to mnie na to stać. — I zaczął pobrzękiwać pękiem kosztownych breloków, które wisiały mu przy zegarku, rękę wsadził w gruby łańcuch złoty, który nosił na szyi, na wszystkich zaś palcach błyszczały brylantowe pierścionki — wszystko było prawdziwe.

— Nie mogę tego pojąć! — zawołał uczony. — Co to wszystko ma znaczyć?

— Tak, to nie jest zwykła rzecz — rzekł cień. — Ale i pan nie należy do zwykłych ludzi, a ja, jak pan dobrze wie, od dzieciństwa dreptałem panu po piętach. Skoro tylko pan uznał, że dojrzałem dostatecznie, aby pójść sam w świat, poszedłem własnymi drogami; znajduję się teraz w najświetniejszych warunkach, ale ogarnęła mnie jakaś tęsknota, aby pana jeszcze raz zobaczyć przed pańską śmiercią. Bo przecież pan umrze. Przy tym chciałem jeszcze raz zobaczyć te strony, ma się zawsze pewne przywiązanie do ojczyzny. Wiem, że panu towarzyszy inny cień, czy mam wobec niego albo wobec pana jakieś zobowiązania? Proszę mi to tylko otwarcie powiedzieć.

— Czyżbyś to ty był naprawdę? — zadziwił się uczony. — To istotnie nadzwyczajne. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że własny cień może wrócić w postaci człowieka.

— Proszę mi powiedzieć, ile mam panu zapłacić — mówił cień — gdyż nie lubię mieć jakichkolwiek długów.

— Co też ty mówisz? — zawołał uczony. — O jakim tu długu może być mowa? Jesteś zupełnie wolny. Cieszę się niewymownie z twego powodzenia. Siadaj, stary przyjacielu, i powiedz mi coś niecoś o tym, jak ci się wiodło i coś widział w domu naprzeciwko, tam w tych gorących krajach.

— Owszem, chętnie panu opowiem — rzekł cień i usiadł. — Ale w zamian za to musi mi pan przyrzec, że nigdy nikomu w tym mieście nie powiesz, iż byłem pańskim cieniem. Mam zamiar zaręczyć się; mógłbym sobie pozwolić na utrzymanie nie tylko jednej rodziny.

— Nie obawiaj się! — rzekł uczony — Nie powiem nikomu, kim właściwie jesteś, oto moja ręka. Słowo uczciwego człowieka.

— Słowo uczciwego cienia! — powtórzył cień, gdyż inaczej nie mógł powiedzieć.

Ta przemiana z cienia w człowieka była istotnie nadzwyczajna; ubrany był czarno, i to w najcieńsze czarne sukno, miał lakierki i kapelusz, który dawał się składać tak, że zostawało tylko rondo i denko, nie mówiąc już o tym, o czym wiemy, to jest o brelokach, o złotym łańcuchu i pierścionkach brylantowych; istotnie — cień był niesłychanie wykwintnie ubrany, co właśnie przyczyniało się do tego, że wyglądał na prawdziwego człowieka.

A więc opowiem — rzekł cień i postawił nogi w lakierkach z całej siły na rękawie nowego cienia, który niby pudel leżał u stóp uczonego. Uczynił tak może z wyniosłości, a może dlatego, aby nowy cień przywarł szczelnie; leżący cień zachowywał się bardzo cicho i spokojnie, pewnie dlatego, aby dobrze słyszeć, chciał także wiedzieć, jak to się można wyzwolić i stać się panem samego siebie.

— Wie pan, kto mieszkał w tym domu naprzeciwko? — rzekł cień. — To było najpiękniejsze ze wszystkiego, to była Poezja. Mieszkałem tam trzy tygodnie i ten pobyt miał na mnie taki wpływ, jak gdybym żył trzy tysiące lat i przeczytał wszystko, co zostało napisane wierszem. Wiem, co mówię. Wszystko widziałem i wszystko wiem.

— Poezja! — zawołał uczony. — Tak tak, ona mieszka często niby pustelnica w wielkich miastach. Poezja! Tak, widziałem ją przez jedną krótką chwilę, ale sen zamykał mi wtedy oczy. Stała na balkonie i świeciła niby zorza północna; opowiadaj, opowiadaj. Byłeś na balkonie, wszedłeś przez drzwi, a dalej...

— Znalazłem się w przedpokoju — rzekł cień. — Pan spoglądał zawsze na przedpokój. Ale tam nie było światła, panował półmrok; za to wszystkie drzwi w długim szeregu pokojów i salonów stały otwarte, a jasność była w nich tak oślepiająca, że zabiłaby mnie z pewnością, gdybym poszedł wprost do dziewicy, ale byłem rozważny; przeczekałem trochę, gdyż tak należy zawsze czynić.

— A cóż potem widziałeś? — zapytał uczony.

— Widziałem wszystko i opowiem to panu; ale — nie jest to bynajmniej dumą z mojej strony — jako człowiek niezależny, posiadający wykształcenie, poważne stanowisko i będący w świetnym położeniu materialnym, życzyłbym sobie, aby pan raczył tytułować mnie panem.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł uczony. — To ze starego przyzwyczajenia, którego trudno się wyzbyć. Ma pan zupełną słuszność, zastosuję się do tego. A teraz proszę mi opowiedzieć wszystko, co pan widział.

— Owszem — zgodził się cień. — Gdyż widziałem wszystko i wiem wszystko.

— Jakżeż tam wyglądało w głębi mieszkania? — zapytał uczony. — Czy było tam tak jak w zielonym lesie? Czy jak w uroczystym kościele? Czy sale przypominały gwiaździste niebo widziane z wierzchołka wysokiej góry?

— Wszystko tam było — opowiadał cień. — Wprawdzie nie wszedłem w głąb, zostałem w pierwszym pokoju w ciemności, ale było to doskonałe miejsce do obserwacji, widziałem wszystko i wiem wszystko. Byłem na dworze Poezji, w przedpokoju.

— Ale co pan widział? Czy przez wielkie sale szedł pochód wszystkich bogów starożytności? Czy walczyli tam dawni bohaterowie? Czy igrały tam wdzięczne dzieciątka i opowiadały swoje sny?

— Mówię panu przecież, że byłem tam, więc może się pan domyślić, że widziałem wszystko, co było do zobaczenia. Gdyby pan tam był, nie zostałby pan z pewnością człowiekiem, ale ja stałem się nim. A zarazem poznałem własną moją naturę, wszystko, co we mnie jest przyrodzonego, pokrewieństwo, jakie mnie łączy z poezją. Wówczas, kiedy byłem na służbie u pana, nie myślałem o tym, a jednak zawsze, pan wie, kiedy słońce wschodziło lub zachodziło, wydłużałem się tak bardzo; w świetle księżyca stawałem się nawet bardziej widzialny od pana. Nie rozumiałem wówczas mojej natury, dopiero tam, w tym w tym przedpokoju, poznałem siebie. Stałem się człowiekiem. Wyszedłem stamtąd dojrzały, ale pana już nie było w tych gorących krajach. Wstydziłem się pokazać jako człowiek takim, jakim byłem; potrzeba mi było obuwia, ubrania, całego tego pokostu, właściwego ludziom.

Poszukałem więc swojej drogi — tak, panie, mogę się do tego przyznać, przecież pan tego nie umieści w żadnej książce — ukryłem się pod spódnicą kucharki, ta kobieta nie przypuszczała wcale, kogo otacza swoją opieką. Dopiero wieczorem wyszedłem, biegłem w świetle księżyca, wyciągałem się jak najdłużej wzdłuż muru, co mnie zawsze tak łaskocze rozkosznie po plecach; biegałem tam i z powrotem, zaglądałem przez najwyższe i najniższe okna do salonów i poddaszy, zaglądałem tam, gdzie nikt inny zajrzeć nie może, i widziałem to, czego nikt inny nie widzi i widzieć nie może. W gruncie rzeczy świat jest zły i nie zostałbym człowiekiem, gdyby nie było przyjęte, że człowiek ma jakieś znaczenie. Widziałem najnieprawdopodobniejsze rzeczy u mężczyzn i u kobiet, u rodziców i u tych milutkich, czarujących dzieci. Widziałem — ciągnął cień — czego żaden człowiek nie powinien wiedzieć, a co każdy tak chętnie chciałby wiedzieć, to, co się złego dzieje u sąsiada. Gdybym wydawał gazetę, byłaby rozchwytywana, ale ja pisałem wprost do każdej osoby i w każdym mieście, gdzie przebywałem, powstawał zamęt z mego powodu. Bali się mnie, a jednocześnie lubili mnie. Profesor zrobił ze mnie profesora, krawiec uszył mi nowe ubranie, jestem teraz zaopatrzony; menniczy wybił dla mnie monety, a kobiety mówiły, że jestem piękny. I takim to sposobem stałem się tym, kim jestem dzisiaj. A teraz żegnam. Oto mój bilet wizytowy, mieszkam po słonecznej stronie, a w deszcz można mnie zawsze zastać w domu — i cień poszedł sobie.

— To dziwna historia — powiedział uczony.

Przeszły dni i lata, aż pewnego razu cień zjawił się na nowo.

— Co słychać? — zapytał.

— Ach! — odrzekł uczony. — Piszę dzieło o tym, co jest prawdą, dobrem i pięknem, ale nikogo to nie obchodzi; jestem zrozpaczony, bo tak się tym przejmuję.

— Ja sobie z takich rzeczy nic nie robię! — zawołał cień. — Tyję, i basta, o to właśnie trzeba się starać. Tak, pan nie zna się na życiu. Rozchoruje się

SŁUPSKI TEATR MUZYCZNY

Sezon 1978 79

Premiera: 30 czerwca 1979 r.

CIEŃ

Libretto: WOJCIECH MŁYNARSKI
wg Eugeniusza Szwarca
Muzyka: MACIEJ MAŁECKI

OBSADA:

UCZONY	—	Jerzy Pożarowski
CIEŃ	—	Jerzy Nowacki
ANNUNCJATA	—	Jolanta Seidel-Wiszniewska
PIETRO	—	Bogdan Kajak
CEZAR BORGIA	—	Wiesław Sławik
JULIA GIULI	—	Danuta Borowiecka
TAJNY RADCA	—	Tadeusz Błażyński (adept)
KRÓLEWNA	—	Krystyna Wiśniewska-Sławik
PREMIER	—	Bogumił Majchrzak
MINISTER FINANSÓW	—	Błażej Filipowski
DOKTÓR	—	Ireneusz Wykurz
DONNA MARIA	—	Krystyna Filipowska
DONNA INEZ	—	Krystyna Jędrys (adept)
DONNA KLARA	—	Krystyna Kozakiewicz
KWIACIARKA	—	Kaja Kijowska
GAZECIARZ	—	Marek Huczyk (adept)
ŻEBRAK	—	Piotr Emanuel Kraus (adept)
KAPRAL		Aleksander Maksymiak
LOKAJE MINISTRA	—	Ryszard Bogusz (adept) Ryszard Strzelecki (adept)
DAMY DWORU	—	Halina Mrugacz Teresa Przeradzka

oraz: Luiza Repetowicz, Zbigniew Sykulski, Zbigniew Tomkowicz

ORKIESTRA:

FLETY:	Elżbieta Janicka Tomasz Walczak
OBOJE:	Leszek Kącki
WALTORNIE:	Mieczysław Gach Paweł Kurczewski
PERKUSJA:	Wiesław Heliński
FORTEPIAN:	Piotr Kurkowiak
SKRZYPCE:	Andrzej Kowalczyk Dobrosława Kubak Piotr Lewtak Włodzimierz Pawlicki Michał Sysojew-Osiński Joanna Zagrodzka
ALTÓWKI:	Andrzej Borgieł Tadeusz Giemzowski
WIOLONCZELA:	Łucja Wojdak-Tylewska
KONTRABASY:	Adam Paśko Janusz Sędziński

Dyrygent:
KRZYSZTOF TEODOROWICZ

Reżyseria:
JOWITA PIEŃKIEWICZ

Scenografia:
MAREK DOBROWOLSKI

Choreografia:
ZOFIA KULESZANKA

Asystent reżysera:
MAREK HUCZYK

Kierownictwo wokalne:
ROMANA KREBSÓWNA

pan w końcu. Trzeba, żeby pan zaczął podróżować. Tego lata wybieram się właśnie w podróż, może pan pojedzie ze mną? Chciałbym mieć towarzysza podróży, może pan pojedzie ze mną jako cień? Będzie to dla mnie wielka przyjemność mieć pana przy sobie, płacę koszty podróży.

— Pan sobie za dużo pozwala — rzekł uczony.

— Zależy, z której strony się to bierze. Podróż panu zrobi znakomicie. Jeśli pan chce być moim cieniem, płacę za wszystko w podróży.

— To nie do pomyślenia — powiedział uczony

— Trudno, świat jest już taki — rzekł cień. — I takim zostanie — i poszedł swoją drogą.

Uczonemu nie powodziło się wcale, troski i zmartwienia prześladowały go, a kiedy mówił o tym, co prawdziwe, dobre i piękne, znaczyło to dla większości ludzi tyle co róże dla krowy.

W końcu uczony zachorował

— Pan wygląda jak cień — mówili ludzie do niego, a słowa te przejmowały uczonego dreszczem, gdyż przywodziły mu coś na myśl.

— Musi pan koniecznie jechać do wód — mówił cień, który go odwiedził. — Nie ma dla pana innego ratunku. Zabiorę pana w imię naszej dawnej zażyłości, zapłacę za podróż, a pan ją opisze, a przy tym rozerwie mnie pan trochę w drodze. Mnie także potrzebna jest kuracja, broda mi jakoś nie rośnie, to także choroba w swoim rodzaju, bo brodę trzeba mieć. Niech pan będzie rozsądny i przyjmie moją propozycję, a pojedziemy jako towarzysze.

I pojechali. Cień był teraz panem, a pan był cieniem. Podróżowali razem, razem jeździli konno i chodzili razem, obok siebie, przed i poza sobą zależnie od położenia słońca. Cień potrafił zawsze zająć miejsce pańskie; uczony nie zwracał na to uwagi, miał bardzo dobre serce i był niezwykle grzeczny i uprzejmy, więc pewnego dnia powiedział do cienia:

— Ponieważ jesteśmy towarzyszami podróży, a zarazem wzrośliśmy ze sobą od dzieciństwa, powinniśmy więc wypić na „ty". Będziemy odtąd w większej ze sobą zażyłości.

— Przemówił pan — rzekł cień, który teraz właściwie był panem — bardzo szczerze i w dobrej intencji; postaram się mówić równie szczerze i życzliwie. Pan, jako uczony, wie dobrze, jaka natura ludzka jest dziwna. Bywają ludzie, którzy nie mogą dotknąć się szorstkiego papieru, bo im się robi słabo, inni nie mogą znieść skrobania żelazem po szkle; ja mam podobne uczucie, gdy słyszę, że pan mówi do mnie „ty", przygniata mnie to do ziemi jak wówczas, kiedy byłem w pierwszej służbie u pana. Widzi pan, że to nie jest duma, tylko wrażliwość, nie zniosę, aby mi pan mówił na „ty". Natomiast będę chętnie „tykał" pana, aby pańskie życzenie przynajmniej w połowie zostało spełnione.

I odtąd cień mówił „ty" do swego dawnego pana.

„To chyba za wiele. On mnie tyka, a ja jego nazywam panem" — pomyślał sobie uczony, ale nie mógł już na to nic poradzić.

Przyjechali do miejscowości kąpielowej, gdzie było wielu gości, a wśród nich cudownie piękna królewna, której choroba polegała na tym, że zbyt wyraźnie wszytko widziała, a to było niepokojące.

Od razu poznała, że nowy przybysz różnił się od wszystkich innych ludzi.

— Mówią, że przyjechał po to, aby mu broda wyrosła, ale ja widzę właściwą przyczynę, on nie ma cienia.

Zaciekawiło ją to tak, że od razu na spacerze wdała się w rozmowę z obcym jegomościem. Jako królewna, nie miała potrzeby się krępować i powiedziała szczerze.

— Pańska choroba polega na tym, że pan nie ma cienia.

— Jej królewska wysokość jest na drodze do poprawy zdrowia — rzekł cień. — Wiem, że jej choroba polegała na zbyt przenikliwym widzeniu wszystkiego, ale to już zanika, wasza królewska wysokość wraca do zdrowia. W danym wypadku mogę zapewnić, że towarzyszy mi stale niezwykły cień, który zawsze obok mnie chodzi. Inni ludzie mają pospolity cień, ale ja nie lubię nic pospolitego. Często daje się lokajom cieńsze sukno na liberie od tego, które się nosi samemu, i dlatego pozwoliłem memu cieniowi przebrać się za człowieka. Tak, pozwoliłem mu nawet mieć własny cień. To wszystko drogo kosztuje, ale lubię mieć coć osobliwego.

— Jak to? — rzekła królewna. — Czyżbym miała naprawdę się wyleczyć? Tak, kąpiele tutejsze są najskuteczniejsze ze wszystkich, jakie znam; wody mają jakieś cudowne własności. Ale nie wyjadę stąd jeszcze, teraz dopiero zaczyna tu być wesoło. Ten cudzoziemiec podoba mi się niezwykle. Oby mu tylko broda nie odrosła, bo wówczas natychmiast wyjedzie.

Wieczorem w wielkiej sali balowej tańczyła królewna z cieniem. Ona była lekka, ale on był jeszcze lżejszy, takiego tancerza nigdy jeszcze nie miała. Powiedziała mu, z jakiego kraju pochodzi, a on znał ten kraj; był tam, ale jej wtedy nie było w domu, zaglądał przez okna u góry i u dołu, niejedno widział i stąd mógł królewnie mówić i napomykać o takich rzeczach, które ją zdumiały Musiał być chyba najmądrzejszym człowiekiem na świecie; nabrała dla niego takiego szacunku za jego wiedzę, że kiedy znowu zaczęli tańczyć, zakochała się w nim, co cień doskonale zauważył, gdyż oczami swymi gotowa była przejrzeć go na wskroś. Tańczyli jeszcze raz i królewna omal nie powiedziała mu tego, ale powstrzymała się, gdyż była rozsądna, i pomyślała sobie o swoim państwie i o tych wszystkich ludziach, którymi miała rządzić. „Jest mądry — powiedziała sobie — to dobrze; tańczy doskonale, to także dobrze, ale nie wiem, czy ma gruntowne wykształcenie, a to jest bardzo ważne. Trzeba go przeegzaminować" I zaczęła wypytywać go o najtrudniejsze rzeczy, na które sama nie umiałaby odpowiedzieć. Cień przybrał zagadkowy wyraz twarzy

— Na to pan nie potrafi odpowiedzie? — powiedziała królewna.

— Wiedziałem o tym jeszcze jako dziecko, nawet mój cień, który stoi tam w drzwiach, potrafi na to odpowiedzieć.

— Pański cień? — zawołała królewna. — To byłoby nadzwyczajne.

— Nie twierdzę na pewno, że będzie wiedział — rzekł cień. — Ale tak mi się zdaje, tyle lat mi towarzyszy i słyszał już niejedno. Ale wasza wysokość pozwoli sobie zwrócić uwagę, że cień mój jest bardzo dumny z tego, że uchodzi za człowieka, i aby go wprawić w dobry humor, a musi być w dobrym humorze, aby należycie odpowiadać, trzeba go traktować zupełnie tak jak człowieka.

— To mi się podoba — rzekła królewna.

I podeszła do uczonego, stojącego w drzwiach, i zaczęła z nim rozmawiać o słońcu i o księżycu, o ludziach, jakimi są wewnątrz i na zewnątrz, a uczony odpowiadał rozumnie i trafnie.

„Cóż to musi być za człowiek, kiedy jego cień jest tak mądry! — pomyślała sobie — to byłoby prawdziwe błogosławieństwo dla mego ludu i dla mego państwa, gdybym go wybrała za małżonka. Uczynię tak".

I porozumieli się bardzo szybko, królewna i cień, tylko że nikt nie miał o tym wiedzieć, dopóki ona nie powróci do swego państwa.

— Nikt, nawet mój cień — oświadczył cień, a miał po temu swoje racje.

I pojechali do państwa, którym królewna rządziła, teraz gdy była już u siebie w domu.

— Słuchaj, przyjacielu — rzekł cień do uczonego — teraz stałem się tak szczęśliwym i potężnym, jak tylko być można, chcę więc uczynić dla ciebie coś niezwykłego. Będziesz zawsze przy mnie mieszkał w pałacu, będziesz jeździł ze mną w królewskiej karecie, będziesz dostawał sto tysięcy talarów rocznej pensji; ale musisz za to pozwolić nazywać się przez wszystkich cieniem. Nie wolno ci nigdy powiedzieć, że byłeś kiedykolwiek człowiekim, a raz na rok, kiedy będę siedział na balkonie w słońcu i będą się pokazywał poddanym, musisz leżeć u mych stóp tak, jak się przynależy cieniowi, gdyż powiem ci całą prawdę: żenię się z królewną, dziś wieczorem wesele.

— Nie, tego już za dużo — krzyknął uczony — tego nie zrobię za nic na świecie! Znaczyłoby to oszukać cały kraj wraz z królewną! Powiem wszystko — że to ja jestem człowiekiem, a ty cieniem przebranym za człowieka.

— Nikt ci nie uwierzy — rzekł cień — uspokój się albo zawołam straż.

— Idę wprost do królewny! — rzekł uczony.

— Ale ja pójdę wpierw — rzekł cień — a ty pójdziesz do więzienia.

I tak się stało, gdyż straż usłuchała tego, który miał zostać mężem królewny.

— Drżysz? — zapytała królewna, gdy cień stanął przed nią. — Czy stało się coś? Nie wolno ci chorować, dziś nasze wesele.

— Przeżyłem najstraszniejszą rzecz, jaką można przeżyć — powiedzia cień. — Wyobraź sobie, że biedny mózg mojego cienia nie wytrzymał. Wyobraź sobie, że mój cień zwariował, zdaje mu się, że on jest człowiekiem, a ja, pomyśl tylko, ja jestem jego cieniem!

— To okropne! — rzekła królewna. — Czy zamknięto go?

— Rozumie się. Obawiam się, że nigdy nie odzyska rozumu.

— Biedny cień! — zawołała królewna. — Jaki nieszczęśliwy! Byłoby to prawdziwym dobrodziejstwem pozbawić go tej odrobiny życia, która mu pozostała, i po namyśle wydaje mi się, że najlepiej będzie sprzątnąć go po cichu.

— To byłoby okrutne, gdyż był bardzo wiernym sługą — rzekł cień i wydał coś w rodzaju westchnienia.

— Jaki ty masz szlachetny charakter! — rzekła królewna.

Wieczorem całe miasto było iluminowane, armaty grzmiały: bum! — a żołnierze prezentowali broń. Wesele było co się zowie! Królewna i cień ukazali się na balkonie ludowi, aby usłyszeć jeszcze raz wiwaty.

Ale uczony tego wszystkiego nie słyszał, bo go sprzątnięto po cichu.

SŁUPSKI TEATR MUZYCZNY

PREMIERY

Sezon 1977/78

„DYREKTOR TEATRU", „BASTIEN I BASTIENNE", W. A. Mozart
Reżyseria: RYSZARD PERYT

„OPERETKA", Witold Gombrowicz
Muzyka: J. SATANOWSKI
Reżyseria: MACIEJ PRUS

„SZELMOSTWA SKAPENA", Jean Poquelin Molier
Muzyka: G. NOWAK
Reżyseria. JOWITA PIEŃKIEWICZ

„OPERA ZA TRZY GROSZE", Bertold Brecht
Muzyka: K. WAILL
Reżyseria: JANUSZ NYCZAK

Sezon 1978/79

„SZŁOŚĆ SAMOJEDNA", wg M. Białoszewskiego
Muzyka: A. GŁOWIŃSKI
Reżyseria: RYSZARD MAJOR

„MĄŻ I ŻONA", A. Fredro
Muzyka: W. A. MOZART
Reżyseria: MAREK GRZESIŃSKI

„APTEKARZ", J. Haydn
Reżyseria: JANUSZ WIŚNIEWSKI

„ŁABĘDZIA PIEŚŃ", A. Czechow
Muzyka: J. STRAUSS
Reżyseria: RYSZARD PERYT

„LA SERVA PADRONA", G. Pergolesi
Reżyseria: M. GRZESIŃSKI

„CIEŃ", wg Szwarca: W. Młynarski — libretto
Muzyka: M. MAŁECKI
Reżyseria: JOWITA PIEŃKIEWICZ

Rozpoczęcie prób do „Snu nocy letniej" W. Szekspira w reżyserii Marka Grzesińskiego. Premiera tej sztuki otwierać będzie sezon teatralny 1979/80 r.

Inspicjent: ZOFIA CYBULSKA
Sufler: JANINA JAROCKA

Kierownik techniczny: JERZY OSTROWSKI
Brygadier sceny: Lech Kuriata
Gł. brygadier elektryk: Stanisław Indrusyna
Akustyk: Janusz Wysocki

Pracownia krawiecka: J. Wiernek
Pracownia stolarska: Zb. Sykulski, Zb. Tomkowicz
Pracownia ślusarska: J. Zakrzewski
Pracownia szewska: Zb. Niewiarowski
Pracownia tapicerska: H. Bukowiecki
Pracownia malarska. W. Przygoda
Pracownia perukarska: D. Leśniewska

Koordynator pracy artystycznej
EWA OSTROWSKA

Kierownik Biura Obsługi Widzów
ALICJA HÜBEL

Redakcja programu,
opracowanie graficzne i redakcja techniczna
ZOFIA KUBIAK-KRZESIŃSKA

CENA 10,— ZŁ

Program wydrukowano w Poligraficznej Spółdzielni Pracy w Słupsku 2282 1000 br. 79.